

POD PIRAMIDAMI

antropolodzy polscy przeprowadzali ciekawe badania naukowe

Zapewne sława światowa polskich badań antropologicznych, a zwłaszcza głośnej metody biometrycznej prof. dr. J. Czekanowskiego z Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu, przyczyniła się wcale do zaproszenia antropologów polskich do Egiptu. W ekspedycji tej uczestniczyli uczeni poznańscy: prof. dr Michał Godycki i doc. dr Franciszek Wokroj, którzy po 3-miesięcznym pobycie pod piramidami opracowali obecnie odcinek badań przywieziony z Egiptu.

Zapytujemy o osiągnięcia i wrażenia z tej wyprawy prof. dr. Fr. Wokroja.

— Zostaliśmy zaproszeni przez egipską instytucję naukową, odpowiednik naszej Akademii Nauk — National Research Centre w Kairze. Zadaniem naszym było podjęcie masowych badań nad strukturą ludności części Pustyni Libijskiej na wschód od doliny Nilu, zwłaszcza wśród Beduinów, oraz przeszkolenie młodego personelu naukowego Egipcjan według znanych nauczycieli polskich metod badawczych, zastosowanych np. przy niedawnym badaniu stąd odzieżowego dla przemysłu lekkiego. Nam zaś chodziło o uzyskanie cennego materiału z pogranicza Azji — Afry-

ki, dotychczas dla nauki polskiej nieosiągalnego, a stanowiącego cenne uzupełnienie dawnych polskich badań afrykańskich, np. przedwojennej wyprawy prof. dr. Czekanowskiego. Cele te osiągnęliśmy w pełni dzięki bardzo przychylnemu stanowisku gubernatorów okręgu Marsa Matruh, Sidi Barrani i okręgu Sollum na pograniczu Libii, leżącej — kierownikowi ośrodków zdrowia i oazy Siwa, do której dotarła przez 300-kilometrowe piaszki pustyni część naszej ekspedycji. Językiem po rozumieniu był przeważnie język angielski.

— Czy nie było z tego powodu nieporozumień?

— Zarówno badani, jak i spotkana ludność koczownicza i osiadła zapytywała kim jesteśmy. Gdy usłyszeli, żeśmy nie Anglicy ani Niemcy czy Holendrzy, lecz „Bolandi” (Polacy) — wyciągały się przyjazne ręce na powitanie. Niektórzy dopytywali się o zmiany w Polsce po Październiku. Szczere i przyjazne podejście Egipcjan przyczyniło się do zebrania cennego i okazałego materiału. Mieliśmy zebrać spostrzeżenia dokonane na najwyżej 1500—2000 mieszkańcach, lecz liczbę tę przekroczyliśmy już w połowie naszego pobytu. Zebraliśmy około 70 spostrzeżeń na każdej badanej osobie, co pozwala opracować dynamikę rozwoju młodej egipskiej, strukturę antropologiczną, sprawność fizyczną i wyjaśnić zagadnienia etnograficzne (tatuże, zwyczaje nacinania i okaleczania ciała, wierzenia i zwyczaje, praktykowane w leczeniu ludowym). Dokonaliśmy wielu tysięcy zdjęć ludności z pustynnej strefy Egiptu, dotychczas niemalże przez naukę światową nie zbadanej. Wyniki naszych badań ogłosimy w fachowych czasopiśmie egipskich i polskich. Ciekawostką dla Poznania będzie, że kartki pomiarowe, na których przeszkalałymi młodych nau-

(Ciąg dalszy na str. 3)



JAZZ w FILHARMONII



Fot. Jerzy Czekajewski

Jacek Głazewski

PEJZAŻE

czas zatrzymał się na wysokości moich oczu
obok żółtych gwiazd
jak niektóre kwiaty we wrześniu

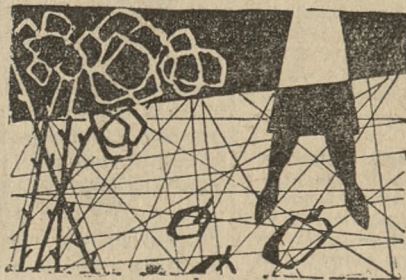
pozostawiłem chłodne tunele rzek
z zapachem mięty
i traw mroczniejszą smukłość

dzień bursztynową głowę do tyłu odchylił
spelał ze szczytów wzgórz

fontannami mroku pulsują doliny ziemi
w korytarzach szyn
do miejsca za horyzontem

niebo jest w barwie metalu
z rdzawymi krawędziami
ucięte mirażem szosy

po brzoskwiniowych piaskach
po chmurnych polanach wrzosów
idzie dziewczyna.



Ponoć jazz pochodzi z tego samego źródła, co zeszytowa literatura. Ponoć jest manifestacją niskich gustów. Podobno — jak spróśne anegdoty — słuchano go początkowo za szczególnie zamkniętymi drzwiami. Zrodziły go przecież spelunki przedmieść i slumsy, pełne „murzyńskiej hołoty”. Jazz trzeba, w imieniu cywilizacji i honoru obywatelskiego cywilizowanej części społeczeństwa, zniszczyć i zniweczyć.

To nie jest moje zdanie. Taką mniej więcej opinię o jazzie reprezentował w 1918 roku „Times Picayune” — gazeta noworleańskiego białego mieszczaństwa. Dziś już chyba niewiele jest osób, oceniających w ten sposób muzykę jazzową, chociaż jeszcze tu i ówdzie, zwłaszcza wśród tradycyjnych muzykologów, trafiają się zagorzali przeciwnicy tego rodzaju muzyki. Na nic się jednak zdają głosy świętego oburzenia, rozdzierania szat i miotania przekleństw, bo mimo wszystko, jazz nie tylko zyskał prawo obywatelstwa, lecz także szturmem zdobył sale filharmonii w całym świecie.

Przełomu dokonał w 1938 r. król swinga — Benny Goodman, który, na przekór gromom protestów, dał koncert jazzowy w nowojorskim Carnegie Hall. Potem już najbardziej ekskluzywnie sale stały przed muzykami jazzowymi otworem. Nie jest to zresztą jedyną formą zbliżenia jazzu do muzyki poważnej. Tacy wybitni muzycy, jak: Milhaud czy Strawiński, wyraźnie sympatyzowali z muzyką synkopowaną, a mistrz Paderewski zachwycał się swego czasu grą wspaniałego pianisty jazzowego — A. Tatuma. Muzycy jazzowi uprawiają zresztą też muzykę klasyczną. Na przykład: kanadyjski pianista — Oscar Peterson, mimo swoich 120 kg wagi, posiada niezwykle lekkie uderzenie, które zawiadza właśnie wielogodzinnym ćwiczeniom utworów Bacha. Znany poznański publiczności, pianista Dave Brubeck, jeden z najpopularniejszych muzyków jazzowych, jest uczniem francuskiego kompozytora Milhauda.

Jazz w Polsce wyszedł „z podziemia” właściwie dopiero w 1955 roku i z miejsca podbił publiczność. Co prawda, wśród prawdziwego jazzu, próbowali (i nadal próbują) przemycać się zespoły, grające głośno i hałaśliwie, co niektórzy widziwio, nie mający dostatecznego przygotowania, skłonni są uważać za prawdziwą sztukę jazzową.

Dlatego dobrze się stało, że polskie filharmonie przystąpiły do organizowania koncertów jazzowych w najlepszym wydaniu. Filharmonia Narodowa w Warszawie i Filharmonia Krakowska mają już na swoim koncie takie imprezy. Również Filharmonia Poznańska dopuściła do swego sanktuarium muzykę jazzową.

8 i 9 marca br. w Auli Uniwersytetu im. A. Mickiewicza usłyszmy koncert w wykonaniu zespołu, jednego z najwybitniejszych muzyków jazzowych w Polsce — Kurylewicza (kwartet i trio — na zdjęciu u góry), piosenkarke, Wandę Warszawską oraz zespół „Modern Dixilander”. Miejmy nadzieję, że impreza ta jeszcze bardziej spopularyzuje prawdziwy jazz, który już chyba na stałe wejdzie do repertuaru naszej Filharmonii. (mf)



posępny gmach, kiedy dyrektor spytał mego przyjaciela, czy chciałby zobaczyć więźniów skazanych dożywotnio.

— Pokażę wam jednego z nich, który jest tutaj od dwudziestu pięciu lat. Jest on, panowie, rozumiecie — pamiętam dokładnie jego słowa — nieco zniszczony na skutek swego długiego uwięzienia.

Podczas gdy szliśmy do celi tego więźnia, opowiedziano nam jego historię. Był pomocnikiem stolarza i jako młody chłopiec przyłączył się do bandy włamywaczy, aby obrabować własnego pracodawcę. Zaskoczony podczas rabunku, uderzył i zabił swego majstra. Został skazany na śmierć, lecz wskutek interwencji kogoś z rodziny królewskiej, kto przejął się widokiem trupów, zdaje się w bitwie pod Sadową, wyrok jego został zamieniony na dożywotnie uwięzienie.

Gdy weszliśmy do jego celi, stał zupełnie spokojnie i patrzył na swą pracę. Wyglądał jakby miał sześćdziesiąt lat, choć nie mógł mieć więcej niż czterdzieści sześć, — pochylona, trzęsąca się ruina człowieka, okrytego żółto-szarym fartuchem. Jego twarz miała barwę maki i wyraz, jaki zwykłe mają więźniowie. Wydawało się, że pozbawiony jest jakichkolwiek rysów twarzy; jego policzki były dziurami, oczy duże, lecz patrzące w tył, nie mogłem przypomnieć sobie ich koloru, jeśli w ogóle jakieś miały. Gdy weszliśmy, jeden za drugim przez żelazne drzwi, zdjął swą okrągłą czapkę, także żółto-szarej barwy, jak wszystko, co go otaczało, odkrywając swą zakurzoną, prawie łysą głowę, po krytą z tyłu nielicznymi, krótkimi, siwymi włosami i stał w postawie pełnej uwagi z pokornie w nas wlepionym wzrokiem. Wyglądał, jak sowa zakoczona przy dziennym świe-

tle. Czy widzieliście kiedy małe dziecko po raz pierwszy chore — oszołomione swym własnym cierpieniem?

Jego twarz była właśnie taka, lecz przy tym nadzwyczaj łagodna. Widzieliśmy wielu więźniów, a on jeden tylko miał tę ogromną łagodność. Dźwięk jego głosu podobnie: „Tak, panie dyrektorze — nie, panie dyrektorze” — miękki i desperacki — przypominam sobie teraz — nie było w nim nawet technicznej siły woli.”

Nasz przyjaciel przerwał, marszcząc brwi z wysiłku, by odtworzyć tę scenę.

„Trzymał on w ręce — zaczął wkrótce — arkusz sztywnego papieru, na którym przepisywał właśnie Nowy Testament sztywnym ułożonym dla głuchoniemych. Gdy przysuwał swe cienie palce przez druk, aby pokazać nam, jak łatwo głuchoniemi mogą go czytać, można było zobaczyć, że jego ręce były zakurzone, jak ręce młynarza. W celi nie było nic, z czego mógłby powstawać kurz i moim zdaniem to nie kurz pokrywał jego ręce, lecz pewna wydzielina tej ludzkiej rośliny rozpadającej się na ziarenka. Kiedy trzymał ów arkusz papieru, ten drżał w jego ręce jak skrzydło owada. Jeden z nas spytał go, kto wynalazł ten system, nad którym właśnie pracował, wspominając jakieś nazwisko.

— Nie, nie — powiedział i stał, trzęsąc się z żądy przypomnienia sobie właściwego. W końcu opuścił głowę i wykrztusił:

— Ach, panie dyrektorze, nie mogę!

Potem całkiem nagle usta jego wyrzuciły to nazwisko. W tej chwili po raz pierwszy wyglądał istotnie jak człowiek. Nigdy przedtem nie zdawałem

(Ciąg dalszy na str. 2)

Był jeden z pierwszych, pięknych dni lata, kiedy to ptaki nie przestały jeszcze śpiewać o wiosnie, a z drzew nie opadły ostatnie kwiaty. Siedzieliśmy w pewnym londyńskim ogródku, gdy nagle przyjaciel nasz wykrzyknął: „O, szczygieł!”. Było tam mnóstwo kosów, drozdów i sikor, sowa w nocy, kukułka, która niby Krzysztof Kolumb raz do roku brała tę zieloną wyspę drzew za krainę Kent i Surrey, ale szczygieł — nigdy! „Słyszę go — tam w górze!” — powiedział znów i podniósłszy się, poszedł w kierunku domu. Gdy wrócił, usiadł i zauważył: „nie wiedziałem, że trzymacie ptaka w klatce”. Przyznaliśmy, że nasza kucharka ma kanarka. „Osiłca!” — stwierdził krótko.

Najoczywiej opanowało go jakieś silne uczucie, którego nikt z nas nie mógł zrozumieć. Naraz wybuchnął:

„Nie znoszę stworzeń w klatce: zwierząt, ptaków i ludzi. Nienawidzę ich widoku i myśli o nich!”

„Parę lat temu zatrzymałem się w pewnym niemieckim mieście z kolegą, który wizytował instytucje społeczne. Pewnego dnia spytał mnie, czy miałbym ochotę zwiedzić z nim więzienie. Ponieważ nigdy jeszcze więzienia nie widziałem — zgo-

dziłem się. Był taki, sam dzień jak dziś — zupełnie czyste niebo i te chłodne, wirujące iskierki na wszystkich, co można zobaczyć tylko w niektórych częściach Niemiec. Więzienie, które stało w środku miasta, było jednym z tych zbudowanych na kształt gwiazdy, podobnie jak Pentonville. System, z którym nas zapoznano, był niezmieniony od wielu lat. Niemcy byli wtedy i bez wątpienia są jeszcze opanowani ideą zamurowywania swoich więźniów w zupełnej samotności. Lecz wtedy była to dla nich nowa zabawa, którą cieszyli się z pewnego rodzaju fanatyczną dokładnością, jaką Niemcy kładą we wszystkie swoje przedsięwzięcia.

Przerwał; następnie ze wzmogłą irytacją w głosie jak gdyby świadomy tego, że zadaje gwałt swej wrodzonej powściągliwości, mówił dalej:

„Zwiedziliśmy już cały ten

GALERIA ZYWYCH PORTRETÓW

Fot.
Grażyna Wyszomirska

ZBIGNIEW KAJA

Na poddaszu odbudowanej, zabytkowej kamieniczki przy ulicy Wodnej mieści się miniaturowa pracownia a zarazem mieszkanko znanego poznańskiego plastyka Zbigniewa Kaja.

— Widzę, że jest Pan, jak to mówią, „doszczętnie” zapracowany. Dlatego też kilka pytań. Pytanie pierwsze: nad czym ostatnio Pan pracował?

— Przede wszystkim nad przygotowaniem prac do ostatniej wystawy indywidualnej w Be-Be-Wu-A, dalej nad scenografią do „Diabla” Molnara dla Teatru Satyry i nad plakatem do „Kordiana” dla Teatru Wybrzeże w Gdańsku.

— A co ma Pan w tej chwili na warsztacie?

— Scenografię do „Wujaszka Wani” Czechowa dla Teatru Nowego a przede wszystkim scenografię do współczesnego baletu Alberta Burkata „Nowa Odyseja” oraz inne prace dla teatrów i telewizji. Poza tym: plakaty i w wolnych chwilach prace, które wypływają z mojego — że tak powiem — osobistego zamówienia.

— „Nowa Odyseja” będzie na pewno jednym z najciekawszych i najbardziej ambitnych utworów współczesnych wystawionych w naszej Operze. Podobno do tego baletu zaprosił Pana ponad 140 oryginalnych kostiumów, nie mówiąc już o...

— Właśnie. Nie mówmy o tym, co jeszcze jest embriem.

— Wobec tego jakie są Pańskie plany twórcze na najbliższą przyszłość?

— Przede wszystkim próby opracowania nowej techniki graficznej... Jednak o tym na razie nie więcej nie powiem. Dalej: ustawiczne poszukiwania takiej formy wypowiedzania się — szczególnie w scenografii — która pozwoliłaby mi najpełniej i najkonsekwentniej wyrazić to, co nazywamy indywidualnością. Wreszcie czeka mnie możliwa realizacja „Nowej Odysei” oraz różne bieżące zagadnienia, które wciąż wykradają czas.

— Podziwiam szeroki wa-

chlarz zainteresowań. Czy nie wolałby Pan jednak skupić się na wybranych, powiedzmy dwóch czy trzech gatunkach, w świadomości wyselekcjonowanym zakresie?

— Na pewno — tak. A równocześnie problem ten wciąż jest dla mnie dylematem. Skrócenie wachlarza niewątpliwie pozwoliłoby mi na głębszą specjalizację i pogłębienie wielu spraw. A równocześnie ten właśnie szeroki wachlarz jest także pozytywny, pozwala bowiem na nieustanne wchłanianie różnych źródeł inspiracji.

— Problem ten — tak bardzo typowy dla naszego życia — nasuwa zjawisko, o którym coraz częściej mówi się wśród twórców. Mam na myśli płynność form i granic pomiędzy poszczególnymi gałęziami.

— Od dawna podzielam ten pogląd.

— A które ze swoich prac uważa Pan za najbardziej ukazujące tę cechę?

— Prace dla teatru, który skupia bardzo różnorodne środki artystycznego wyrazu. Muszę przecież w nim współgrać i literatura i plastyka i muzyka.

— Od dawna zwróciłem uwagę na żywą pomysłowość w Pańskich pracach. Powiem szczerze, że wielokrotnie, poza satysfakcją, pływając z samego kontaktu z formą prac, domyślałem się, lub powiem lepiej — narzucało mi się w nich poczucie humoru.

— ...hm...

— Odpowiada mi Pan uśmiechem — który równocześnie przypomina, że czas płynie. A więc ostatnie pytanie: jak układa się współpraca twórcza z Panią Stefanią, która — jak wiem — też jest plastyczką?

— Żona moja przede wszystkim jest pierwszym, i to bardzo surowym krytykiem wszystkich moich prac. Ileż to razy krzywiła się na gotowe prace, które — przynajmniej — i mnie po pewnym czasie nie za dowalały. Uzupełnia mnie, jest oparciem, a to oparcie jest dla mnie najcenniejszą pomocą...

— Dziękuję Panu serdecznie za rozmowę i życzę wiele, bardzo wiele czasu. O resztę nie mam obaw...

Rozmawiał:

Czesław KUBALIK



CZARODZIEJSKIE SKRZYPCE

Powieści o wybitnych ludziach zawsze cieszyły się poczytnością. Człowiek młody szuka w nich wzoru dla siebie i zarazem pogłębia wiedzę, starszy — przenosi się w świat inny, odpoczywa, a nieraz znajduje usprawiedliwienie dla niezrealizowanych młodzieńczych marzeń. Takie też są „Czarodziejskie skrzypce”.

Autor chyba za wcześnie zachwycił się malarzowi Heniem. Artyści światowej sławy nie rodzą się z talentem; na rozwój talentu wpływa przede wszystkim środowisko.

Cóż — utwory Wieniawskiego mają tę czarodziejską siłę, że może jej ulec sam autor, który — jak wynika z powieści — zna szczegółowo nie tylko dzieje polskiego Wielkiego Skrzypka, ale i jego utwory.

O zaletach można by dużo pisać. Akcja ciekawa, piękny język, estetyczny wygląd — stawia to wydanie LSW w rzędzie najlepszych. Nie dziw więc, że książka wydana przed paru miesiącami, już znikła z półek księgarskich. Trzeba będzie wydanie wznowić, chociażby ze względu na przyszły Konkurs im. H. Wieniawskiego.

*) „Czarodziejskie skrzypce” — Eust. Czekalski — LSW 1958 — str. 381, cena 48 zł.

KLEOPATRA

Henry Rider Haggard jest jednym z najbardziej znanych angielskich autorów powieści podróżniczych i przygodowych. Najbardziej popularną w Polsce jego książką były „Kopalnie króla Salomona”. Udośćniona po raz pierwszy polskiemu czytelnikowi „Kleopatra” — jest powieścią i historyczną, i fantastyczną, i przygodową.

Jej tematem jest spisek przeciwko słynnej królowej egipskiej, której postać intrygowała wielu pisarzy w literaturze światowej.

Romantyczna opowieść głównego spiskowca, odkrywająca przed czytelnikiem rozległy świat wiedzy tajemnej egipskich kapłanów oraz niemniej romantyczne losy pięknej królowej, opowiedziane w formie może nieco staroświeckiej, jednak pasjonującej, zainteresują niewątpliwie młodszych i starszych czytelników.

*) H. R. Haggard: „Kleopatra” — Seria PAS Wydawnictwa Poznańskiego, Poznań 1959, str. 395, cena 22 zł.

Zwierciadło twórczości artystycznej

Wbrew wszelkim pozorom przeciętny czytelnik (widz, słuchacz) poznańskich dostatecznie się orientuje w sprawach, które z istoty swej pozostają bliskie raczej poszczególnym środowiskom artystycznym: literackiemu, teatralnemu, muzycznemu. Wielokrotnie już o tym w Poznaniu pisano, sugerując niedwuznacznie, że ów stopień zainteresowania, a więc i orientowania się w aktualnych sporach estetycznych, jest tylko dostateczny i że wobec tego należy coś robić, aby to zainteresowanie ożywić. Poznań uszakże oprócz tego, że jest prężnym ośrodkiem życia artystycznego, jest również niezwykle silnym ośrodkiem życia naukowego, myśli technicznej, ekonomicznej, prawniczej, humanistycznej. Szczęśliwie w tych dziedzinach sukcesami większymi niekiedy, niż tylekroć w miejscowych pismach wychwalane teatralne przedstawienia, nowe powieści, udane koncerty. Co o tym wszystkim wie przeciętny poznanianin, mimo że słowo kultura obejmuje przecież swoim zakresem, dla przykładu, i literaturę, i ekonomię?

Refleksje te nasunęły mi się podczas zbierania materiału do artykułu o niezwykle ciekawym zjawisku w poznańskim życiu naukowym — o Pracowni Bibliograficznej Instytutu Badań Literackich w Poznaniu.

Cóż to jest bibliografia?

Odpowiadając prosto: jest to spis prac (książek, artykułów) dotyczących jednej dziedziny zainteresowań, na przykład literatury. Bibliografia literacka będzie więc przewodnikiem po literaturze. Potrzeba takiego przewodnika narodziła się z bardzo praktycznych i życiowych względów, np.: historyk literatury albo student wydziału humanistycznego z racji swoich zainteresowań mieli, powiedzmy, w roku 1948 napisać pracę, naukową lub referat na temat życia literackiego w Polsce w 1922 roku. Gdyby nie było bibliografii literackiej za rok 1922 — musieliby przewertować wszystkie pisma wychodzące w Polsce w

tym roku i wyłowić z nich wszystkie utwory literackie oraz wszystkie artykuły dotyczące literatury. A przecież czasopisma, to tylko fragment życia literackiego. Pozostają jeszcze: książki, broszury, tłumaczenia z innych języków. Otóż bibliografia znakomicie tę pracę ułatwia, zawiera bowiem wszystkie tytuły książek, adnotacje o wszystkich opracowaniach dotyczących literatury z podaniem tytułu pisma, numeru, strony. Zamiast więc tracić czas na wertowanie tysięcy stron, historyk literatury bierze bibliografię i według zawartych w niej informacji bez żadnego trudu dociera do niezbędnego mu materiału.

Jednym z wybitnych uczonych i znakomitych specjalistów, który docenił znaczenie bibliografii jako nieodzownej dyscypliny nauk humanistycznych, który jednocześnie jest w Polsce pionierem gdy idzie o teoretyczne opracowanie tej

dyscypliny (książki: „Bibliografia. Jej istota, przedmiot i początki”, 1923; „Teoria bibliografii w zarysie”, 1951) — jest profesor Uniwersytetu im. A. Mickiewicza — dr Stefan Vrtel-Wierczyński. Jego własnie zasługa jest, że po kilkudziesięciu latach zmaganiach z oporną jak zawsze administracją, Instytut Badań Literackich powołał wreszcie do życia specjalne placówki naukowe zajmujące się naukową dokumentacją życia literackiego w Polsce.

Placówka taka istnieje w Poznaniu od roku 1948. Dysponując zespołem wykwalifikowanych pracowników pod kierownictwem prof. dra S. Wierczyńskiego, zapisała na swoim koncie niejedną już poważną sukces naukowy. Rezultatem dosłownie mrowczej pracy całego zespołu jest wydanie pięciu ogromnych książek stanowiących dokumentację polskiego życia artystycznego (literatura, teatr, film) w latach 1944—1949. Trudno sobie dziś sprawę z wartości tych książek, jest jednak faktem niezaprzeczalnym, że ich informująca zawartość będzie nieodzowną pomocą dla przyszłych badaczy polskiej sztuki — historyków literatury, studentów, krytyków, dziennikarzy — itp.

„Polska bibliografia literacka” dzieli się na dwie części: teksty i opracowania. W tych zaś mieszczą się dwa działy: literatura polska (łącznie z pozycjami dotyczącymi teatru i filmu) i literatura obce. Bibliografia jest, oczywiście, przejrzysto skomponowana i bardzo łatwo można się nią posłużyć.

Chcemy dla przykładu wiedzieć, co się w 1946 roku ukazało w Polsce z literatury bizantyjskiej. Bierzemy odpowiedni tom, szukamy w spisie treści hasła „literatura bizantyjska” i — wystarczy już tylko poszukać odpowiednią stronę i przeczytać informację. Podobnie z innymi literaturami — łącznie z abchazyjską, dagestańską, osetyńską, arabską, filipińską, żydowską...

Inny przykład: chcemy się dowiedzieć, kto i gdzie pisał o literaturze poznańskiej w roku 1949; szukamy w alfabetycznym spisie hasła „Poznań”, otwieramy odpowiednią stronę, gdzie znajdujemy wszystkie pozycje dotyczące literatury poznańskiej w roku 1949. Podobnie z repertuarem teatrów i kin.

Nie koniec na tym. Jeżeli kogoś np. interesują zagadnienia porównawcze i chce się, powiedzmy, dowiedzieć, jaki pisarz był w danym okresie najpopularniejszy, albo jaka literatura najczęściej tłumaczona na język polski — bibliografia dostarczy mu wszystkich potrzebnych informacji. Można się więc dowiedzieć tak rewersyjnych rzeczy, jak to, że w pierwszych latach po wojnie najpopularniejszą w Polsce była twórczość Chopina i Mickiewicza, dopiero potem Słowackiego i Wyspiańskiego, że współczesnych zaś — M. Jastruna i A. Ważyka — jako refleks literacki w latach tuż powojennych najczęściej pojawia się Lenin potem Stalin i Marks; że z literatury obcych najczęściej pojawiały się przekłady z literatury: francuskiej, angielskiej, amerykańskiej i niemieckiej.

Staram się, rzecz jasna, w ogromnym uproszczeniu przedstawić niezliczone zalety bibliografii; nie tu miejsce na fachową, szeroką recenzję. Chcę natomiast podkreślić, że to fundamentalne dla przyszłej humanistyki dzieło jest — nawet w Europie — jedyne w swoim rodzaju, a udział naukowców poznańskich w podnoszeniu ogólnego poziomu kultury naszego regionu, a przez to i kultury ogólnopolskiej, jest równie duży, a może i większy, niż innych środowisk.

Poszczególne roczniki „Bibliografii” opracował zespół pod kierownictwem laureata Nagrody m. Poznania, Prof. dra Stefana Wierczyńskiego, składający się z następujących osób: E. Busz-Aleksandrowska, J. Formanowiczówna, B. Karolusówna, T. Kwiekowa, M. K. Maciejewska, J. Maciejewska, E. Mendelska, W. Pierzchlewicka, A. Polakowska, K. M. Schönlechnerowa, C. Omiliewicz-Szokowa, K. Szymanowski, J. Swiderska, K. Tokarzewska, T. Tyszkiewiczówna, K. Witkowska, E. Ziolkowa.

Jeszcze jedno: nakład „Bibliografii” bardzo poetycki — 1000 egzemplarzy.

Jerzy BERNASOWSKI



Jedna z najstarszych Spółdzielni Przemysłu Ludowego i Artystycznego „Opocznianka” w Opocznie obchodzi dziesięciolecie istnienia. W związku z tym otwarto w Domu Sztuki Ludowej na Starym Mieście w Warszawie wystawę-kiernaszk sztuki ludowej regionu opoczyńskiego. Na zdjęciu: tkaniny opoczyńskie oglądają Stefania Świątek ze wsi Ogonowice, Weronika Stępnik ze wsi Libisowa i Katarzyna Baran ze wsi Ogonowice.

CAF — Fot. Grzęda

(Dokończenie ze str. 1)

sobie sprawy z wartości wolności, z prawdziwego znaczenia naszych stosunków z innymi istotami ludzkimi, z tego, że umysł nasz musi być odświeżany z minuty na minutę przez widoki i odgłosy, przez potrzebę przypominania sobie i używania tego, co pamiętamy. Ten człowiek natomiast nie potrzebował w swym życiu w ogóle pamięci, był jak roślina rosnąca w miejscu, gdzie niemożliwym jest, by padała na nią rosa. Uchwycenie wyrazu jego twarzy przy tym zwyczajnym przypomnieniu sobie nazwiska podobne było spostrzeżeniu maleńkiego skrawka zielonego listka, który pozostał w sercu zwiędłego krzewu. Mówię wam — człowiek jest cudowny — najbardziej wytrzymałe stworzenie, jakie kiedykolwiek widziałem.

Nasz przyjaciel powstał i zaczął chodzić tam i z powrotem. „Jego świat nie był duży: około czterech na osiem stóp. Żył w nim dwadzieścia siedem lat, pobawiony nawet myśli, która mogłaby być jego przyjacielem. Oni w więzieniu wykonywali swe zadania gruntownie.

Pomyślcie o tej ogromnej sile witalnej, która potrzebna jest do zbudowania organizmu ludzkiego, dla człowieka, aby przeżył to... Jak myślicie — mówił dalej, zwracając się nagle do nas — czy zachował on choć resztę świadomości? Dobrze, opowiem wam: podczas gdy wciąż jeszcze patrzyliśmy na jego pismo dla głuchoniemych, on naraz podał nam kawałek



drzewa, wielkości dużej fotografii. Był to obrazek przedstawiający młodą dziewczynę, siedzącą w samym środku ogrodu, z kwiatami o jasnych barwach w ręku; na dalszym planie był wąski, wijący się strumień, porośnięty nieco sitowiem, i jakiś dziwny ptak, podobny raczej do kruk, stojący na lawce. A obok dziewczyny — drzewo obwiszone dużymi owocami, dziwnie symetryczne, nie podobne do żadnego drzewa, które kiedykolwiek rosnęło, jednak jego wygląd miał w sobie coś, co jest wspólne wszystkim drzewom — sprawiają wrażenie, że mają duszę i są przyjaciółmi ludzi. Dziewczyna patrzyła prosto na nas, zupełnie okrągłymi, niebieskimi oczami, a kwiaty, które trzymała w ręce, wyglądały, jak gdyby też na nas patrzyły. Ten cały obrazek, wydawało mi się, był pełen — jak to mam powiedzieć — był to pewnego rodzaju cud. Miał surowe kolory i rysunek wczesnego, włoskiego malarstwa. Ktoś z nas spytał go, czy

uczył się rysować przed uwięzieniem.

— Nie, nie — odpowiedział — pan dyrektor wie, że nie miałem żadnego modelu. To jest obraz z wyobraźni.

Umieścił na tym obrazie wszystko, za czym tęskniła jego dusza — kobiecie, kwiaty, ptaki, drzewa, niebieskie niebo, płynącą wodę i całe zadiwienie swego ducha, że został odcięty od tego wszystkiego. Powiedziałono nam, że pracował nad tym obrazem osiemnaście lat, niszcząc i poprawiając dopóki nie stworzył tego — setną wersję. To było arcydzieło. Tak, przebywał tam dwadzieścia siedem lat skazany dożywotnio na tę żyjącą śmierć, pozabawiony zapachów, widoków, słyszenia czy dotyku jakiegokolwiek żywego obiektu, pozabawiony nawet pamięci o nich, rozwijający ze swej głodzącej duszy tę wizję młodej dziewczyny z oczami pełnymi czaru i kwiatami w ręce. To jest największy triumf ludz-

kiego ducha i najlepsze świadectwo potęgi sztuki, jakie kiedykolwiek widziałem.”

Przyjaciel zaśmiał się krótko:

„Tak gruboskórny mimo wszystko jest człowiek, że nawet wtedy nie pajałem jeszcze agonii życia tego więźnia. Lecz zrozumiałem to później; zdążyło mi się zobaczyć jego oczy, gdy próbował odpowiedzieć dyrektorowi na pytanie dotyczące jego zdrowia. Nie zapomniałem ich do śmierci. Były one wcieleniem jego tragedii — wszystkie te wieczności ciszy i samotności, które przeżył, wszystkie te wieczności, które jeszcze miał przeżyć, zanim pochowają go na cmentarzu, patrzyły z jego oczu. Miały one więcej prostego, żalostnego bólu, niż wszystkie oczy razem wzięte ludzi wolnych, których kiedykolwiek widziałem. Nie mogłem wytrzymać ich spojrzenia i uciekiem z celi. Wtedy, a odtąd wciąż czuję to, co mówią, że czują Rosjanie — że wszystkie swoje błędy dzikości — świętość cierpienia. Czuję, że wszyscy powinniśmy uklęknąć przed nim, że ja, chociaż wolny i w zgodzie z prawem, byłem szarlatanem, grzesznikiem, wobec tego żyjącego ukrzyżowanego. Jakąkolwiek zbrodnię popełnił — nie dbam o to jaką — tyle zgrzeszonego, przeciwko tej biednej, straconej istocie, że ja byłem jak brud pod jego stopami. Kiedy myślę o nim — wciąż jeszcze tam — czuję jak powstaje we mnie pewnego rodzaju zawziętość przeciw własnemu gatunkowi. Czuję to bezmierne cier-

pienie wszystkich zamkniętych w klatce stworzeń na świecie.”

Nasz przyjaciel odwrócił głowę i prawie przez minutę nie mówił.

„W drodze powrotnej przypomniałem sobie — rzekł w końcu — jechałbym przez Miejski Park. Było tam dość swobody i światła; wszystkie gatunki drzew: lipy, miedziane buki, dęby, klony, topole, brzozy i kwitnące jablonie napędzały zapachem powietrze; każda gałązka i listek iskrzyły się od szczęścia. Park był pełen ptaków, symboli wolności, fruujących naokoło, śpiewających w słońcu, najgłośniej, jak tylko umiały. Tej nocy siedziałem w oknie kawiarni, przy słuchając się muzyce, rozmowom, śmiechom, obserwując ludzi przechodzących ulicą, klientów, żołnierzy, kupców, urzędników, księży, żebraków, arystokratów, prostytutki, płynące strumieniem z okien światła i liście właśnie poruszające się na tle cudownego, granatowego nieba. Lecz nie widziałem i nie słyszałem nic z tego wszystkiego. Widziałem tylko łagodną twarz o odcieniu maki tego biednego człowieka, jego oczy; i zakurzone, drzące ręce; i widziałem obraz, który namalował w tym piekle. Odtąd widzę go wciąż, ilekroć słyszę o jakimkolwiek samotnym, zamkniętym w klatce stworzeniu.”

1909 r.

Tłumaczyła
Aleksandra
KOSANOWSKA

Rewelacyjne sukcesy medycyny

Rewelacyjny sukces odniosła ekipa lekarzy francuskich ze szpitala Św. Ludwika w Paryżu. Po raz pierwszy w historii medycyny światowej udało się wyleczyć całkowicie beznadziejny, zdawałoby się, wypadek białaczki dzięki zabiegowi przeszczepienia szpiku kostnego.

W krótkim zarysie przebiegu tego wydarzenia, stanowiącego prawdziwą sensację w Paryżu, jest następujący:

13-letnia dziewczynka, Danielle V., córka paryskiego urzędnika pocztowego, od kilku lat leczona była bezskutecznie na białaczkę. Stosowano wszelkie tradycyjne środki, a w szczególności leczono ją „korkiem tansylem”. Pomimo troskliwej opieki lekarskiej, stan chorej ustawicznie się pogarszał. W końcu ubiegłego roku, lekarze szpitala Św. Ludwika oświadczyli zrozpaczonemu rodzicom, że nie ma żadnej nadziei na wyleczenie ich córeczki.

Tymczasem w tym samym szpitalu lekarze przeprowadzili zabieg przeszczepienia szpiku kostnego chorą uczonym jęgosłowi. Pomyślny rezultat tych zabiegów nasunął im myśl, czy nie można by na tej samej drodze znaleźć ratunku dla małej Danielle. Zaden z lekarzy nie mógł o tym jednak sam zdecydować. Ażeby zabieg mógł przynieść pozytywny rezultat, trzeba było uprzednio wprowadzić dziecko w taki sam stopień radioaktywnego napromieniowania, w jakim znaleźli się jęgosłowi. Wtedy bowiem i tylko wtedy zniszczone zostałyby w organizmie dziecka tzw. antyciała, likwidujące wszelkie obce elementy, przenikające do systemu krążenia, a więc także cząsteczki przeszczepionego szpiku kostnego.

Ale pomiędzy wypadkiem jęgosłowi a małej Danielle istniała przecież kolosalna różnica; tamci uzyskali śmiertelną dawkę promieni przez niebezpieczny wypadek, i skazani byli na szybką śmierć — ryzyko zabiegu równało się więc zeru. Tutaj przeciwnie — trzeba było najpierw umyślnie poddać dziewczynkę takiej radioaktywnej dozie, która w wypadku niepowodzenia zabiegu z przeszczepieniem szpiku spowodowałaby pewną śmierć dziecka i to znacznie szybciej niż wskutek naturalnych następstw działania radioaktywności.

Lekarze zwrócili się więc do rodziców. Tym nie zabrakło odwagi na podjęcie rozważnej decyzji. Danielle przewieziono do szpitala i już tego samego dnia poddano ją przez 9 godzin promieniowaniu „bomby” kobaltowej. Powtórzono to następnego dnia również przez 9 godzin. Trzeciego dnia prof. Mathe wraz ze swoim asystentem dr. Szwarcbergiem dokonali na dziewczynce pierwszego przeszczepienia szpiku kostnego. Zabieg

trwał półtorej godziny. Szpik pochodził od dobrowolnej dawczyni, posiadającej analogiczną grupę krwi co dziewczynka. Przeszczepienia dokonano jeszcze 3-krotnie, wprowadzając szpik dożylnie do chorego organizmu. (Szpik, krążąc z krwią, osadza się w tkance kostnej, rozpoczynając natychmiast swoją życiodajną misję regenerowania ciała krwi). W ostatnich dwóch wypadkach dawczynią szpiku kostnego była aptekarka francuska, której jedyna córka zmarła na białaczkę.

Pierwsze rezultaty zabiegu nie rokowały nadziei: przez 15 dni Danielle miała bardzo wysoką temperaturę: 40,5 stopni. Przez cały ten czas matka nie odstępowała od łóżka chorej. Prof. Mathe i dr. Szwarcberg czuwali bezustannie: przez cały krytyczny okres spali w szpitalu w pokoju położonym bezpośrednio obok chorej dziewczynki.

Przesilenie nastąpiło w nocy z 31 stycznia na 1 lutego. Wtedy właśnie liczba białych ciałek krwi wzrosła z krytycznego poziomu 200 do 600. 3 lutego nie było już wątpliwości, że dziecko zostało uratowane. 12 lutego rodzice ze łzami w oczach patrzyli, jak dziewczynka wstała z łóżka, sama ubrała się i opuściła szpital, by odbyć rekonwalescencję w domu.

Pierwszej w świecie operacji mózgu przy pomocy wiązki przyspieszonych protonów dokonano niedawno w Szwecji. Operacja zakończyła się pełnym sukcesem. Po 14 dniach pacjent uwolniony został od długoletniego cierpienia.

Jak podaje „Panorama” za „International Magazine Service”, pięciu naukowców z Instytutu Chemii Jądowej im. G. Wernera w Upsali (Szwecja) dokonało z powodzeniem usunięcia 14 mm² chorej tkanki mózgowej przy użyciu „niewidzialnego noża” — wiązki przyspieszonych protonów.

W instytucie tym czynny jest synchrocyklotron. Wytwarzane w jego polu magnetycznym protony (dodatnio naładowane jednostki wodoru) zostają ukształtowane w wiązkę w formie prostokąta 2x10 mm. Ta właśnie wiązka jest „niewidzialnym nożem”, którym dokonano operacji.



Wiązka promieni protonowych, wytwarzana w synchrocyklotronie, zostaje zwięziona do przekroju kilku milimetrów i zmienia się w „niewidzialny nóż” którym dokonano operacji mózgu.

Lekarze francuscy lękają się bardzo, aby wiadomość o tym pierwszym radykalnym wyleczeniu beznadziejnego wypadku białaczki nie pociągnęła za sobą nieodpowiedzialnych zabiegów z przeszczepieniem szpiku kostnego. Przestrzegają oni z naciskiem opinii, że próby takie grozić mogą tragicznym końcem. Nie ma bowiem jeszcze czasu upłynię, zanim pomyślne rezultaty uzyskane wskutek wyleczenia jęgosłowi, a ostatnio małej Danielle, ze sfery eksperymentalnej wejdą do masowej praktyki lekarskiej. W każdym razie pierwszy zasadniczy krok w tym kierunku został już dokonany.

Ignacy KRASICKI

wy nóż, po szeregu prób na zwierzętach złożyła się na ten wielki sukces.

Wśród naukowców rozwinęła się żywa dyskusja na temat przydatności „niewidzialnego noża” do leczenia innych schorzeń mózgu. Prof. Leksell jest zdania, że nowa metoda może być przydatna już obecnie przy leczeniu co najmniej trzech rodzajów schorzeń: przy chorobie Parkinsona, przy przewlekłych stanach bólu mózgu oraz przy leczeniu pewnych schorzeń umysłowych. Jest bardzo prawdopodobne, że promieniami protonowymi będzie można zmienić charakter umysłowo chorego człowieka.

W każdym razie i ta operacja otwiera nowe horyzonty przed medycyną. Charakterystyczne jest, że zarówno w wypadku wyleczenia beznadziejnego wypadku białaczki w Paryżu jak i operacji mózgu w Upsali — medycyna opiera się na zdobyciach nowoczesnej fizyki. Wszędzie wskazuje na to, że dalszy jej rozwój zdążyć będzie w kierunku dalszego przyswajania osiągnięć tej fizyki dla potrzeb medycyny. I właśnie to stanowi chyba jakiś zasadniczy zwrot w perspektywach rozwoju medycyny na świecie.

Pacjenta, mężczyznę w średnim wieku, przywiązano do stołu operacyjnego. Wiązkę protonowych promieni skierowano na odpowiedni punkt płata czołowego mózgu. Siegała ona 5 cm w głąb, do miejsca, w którym miał ulec przecięciu odpowiedni nerw.

Następnie drzwi sali operacyjnej zostały zamknięte, pacjent pozostał zupełnie sam. Dopiero wówczas promienie rozpoczęły swoje dzieło. Oczywiście — chorego obserwowano bez przerwy przez aparaturę telewizyjną.

Po 30 sekundach napromieniowania wyłączano działalność cyklotronu i zmieniano kąt promieniowania. Zabieg ten powtarzano 20 razy, osobno dla każdej półkuli mózgu.

Po dwóch godzinach pacjent opuścił salę operacyjną, przekonany, że zabieg minął się z celem, gdyż przewlekłe bóle — bynajmniej się nie zmniejszyły. Ale po kilku tygodniach bóle zniknęły bez śladu. Chory został uleczony operacyjnie, mimo że w czasie tej niezwyklej operacji nie ruszono nawet włosa na głowie pacjenta i nie stracił on ani kropki krwi.

Oczywiście — operację tę poprzedził długi okres żmudnych badań naukowców. Dwóch neurochirurgów szwedzkiego, prof. Lars Leksell i Kurt Linden, próbowało poprzednio podobnych naswietlań promieniami rentgena. Dopiero wspólna praca z instytutem Wernera, który udoskonalał protono-

Tak wygląda mikroskopowe zdjęcie tkanki mózgowej, poddanej działaniu „niewidzialnego noża”. Czarne plamy — to zniszczenia, dokonane przez strumień protonów.

Do dyskusji w sprawie: „ILE CENTRÓW POZNANIA?”

Szanowny Panie Redaktorze! W tygodniowym dodatku „Głosu” z dnia 15 lutego 1959 r. Rok IX — Nr 60 ukazał się artykuł J. Modrzejewskiego pt. „Ile Centrów Poznania?”.

Przy artykule zamieszczono trzy szkice zaopatrzone objaśniającymi opisami.

Z uwagi na nieporozumienie jakie wywołują owe objaśnienia, uprzejmie prosimy o opublikowanie na łamach „Głosu Wielkopolskiego” poniższe go wyjaśnienia:

Zgodnie z jednoznacznie sformułowaną prośbą autora artykułu wykonaliśmy szkice, których celem było zobrazowanie czytelnikowi rysunkiem następujących pojęć:

Szkic 1—blok śródmiejski o zabudowie zwartej przed wyburzeniem wnętrza bloku.

Szkic 2—blok śródmiejski o zabudowie zwartej po wyburzeniu wnętrza bloku.

Szkic 3—blok śródmiejski o zabudowie luźnej.

Natomiast w zamieszczonych objaśnieniach szkic 2 nazwano projektem inż. arch. J. Liśniewicza, a szkic 3 propozycją projektową autorów niniejszych wyjaśnień.

Pragniemy zaznaczyć, iż szkice dla wyrażenia zdefiniowanych celów różnią się diametralnie od projektów i propozycji projektowych i stąd wynika nieporozumienie mogące skierować dyskusję na niewłaściwe tory.

Powyższe wyjaśnienie nie podważa meritum interesujących rozważań J. M., które mogą zapoczątkować dyskusję wymieniającą poglądów na racjonalny sposób przekształcania obrazu przestrzennego Poznania w warunkach kształtujących się procesów społecznych.

Brak żywej reakcji społeczeństwa na problemy urbanistyczne i architektoniczne to istotny mankament w praktycznej działalności zawodowej architektów wykonujących na codzień podstawowe zamówienia społeczne.

Życząc powodzenia artykuliście J. Modrzejewskiemu, pozostajemy

z poważaniem
inż. arch. Henryk Jarosz
inż. arch. Jan Wellenger

Opowiadam się stanowczo (również w imieniu całej ro-

dziny) za koncepcją drugą, tj. za utworzeniem kilku centrów handlowych w Poznaniu, poza głównym w śródmieściu. Dotychczasowa sytuacja jest — wobec rozrostu miasta i coraz większego zagęszczenia mieszkaniowego na peryferiach — tak paradoksalna, że inne rozwiązanie (tylko jedno centrum) jest nie do pomyślenia.

(podpis nieczytelny)

W dalszym ciągu prosimy o nadsyłanie uwag dyskusyjnych nad problemem zabudowy i funkcji centrum naszego miasta.

Naukowcy polscy pod piramidami

(Dokończenie ze str. 1)

kowców, drukowane były w Poznaniu.

— Czy tak szczęśliwie zapoczątkowana współpraca naukowa będzie kontynuowana?

— Egipcjanie dali wyraz na dziei, że kontakty naukowe polsko-egipskie będą stale podtrzymywane. Pragną, żeby Polacy rokrocznie odwiedzali Egipt i wyrazili życzenie, aby naukowcy egipscy mogli kontynuować swe studia w Polsce.

— Czy podjęto jakieś konkretne decyzje?

— Na jesieni br. oczekujemy przybycia pierwszej grupy naukowców egipskich do Polski, których interesuje nasza organizacja i metodyka pracy, zbiory i instrumenty, w różnych ośrodkach naukowo-badawczych. Rząd egipski zamierza również wysłać do Polski studentów na studia specjalistyczne i celem dokonania prac dyplomowych w Polsce, które dotychczas wykonywano przeważnie w uczelniach angielskich, francuskich lub amerykańskich. Omówiliśmy również ewentualność utworzenia w Kairze polsko-arabskiego instytutu naukowego dla koordynowania stałych prac z dziedziny antropologii, etnografii, prehistorii, socjologii i demografii na wzór analogicznych instytutów amerykańskich, niemieckich i innych w Egipcie.

— I jeszcze jedno zapytanie. Jak ekspedycja polska zniósła różnice klimatyczne?

— Odczuwaliśmy zmiany te szczególnie w okresie burz piaszkowych, które jak mgła pokrywały cały horyzont, miały sta i osiedla. Piasek wciskał się do mieszkań i utrudniał prace badawcze, zapyłając instrumenty pomiarowe i sprzęt badawczy. Za to w dni pogodne gdy temperatura wahała się między 10—15° C, korzystaliśmy w styczniu z kąpieli w morzu ku zdziwieniu Egipcjan zżębionych i opatulonych. Jeżeli były jakieś niedogodności klimatyczne, wynagrodziła nam je wielka gościnność i serdeczność Egipcjan, a szczególnie prof. dr. A. R. Tourky'ego, prof. dr. Ali Hassana i doc. dr. M. Zajady, którzy otoczyli nas serdeczną opieką. Z Egipcjanami razem świętowaliśmy piątek muzulmański, a oni urządzili nam choinkę, oświetloną lampkami, wieczór sylwestrowy i złożyli życzenia noworoczne według naszego kalendarza.

Rozmawiał

H. BARAŃSKI



Ośmioro dzieci wdowy Evelyn Teskey z okolic Chicago (USA) w oryginalny sposób oglądało ponowny ślub swej matki w Toronto (Kanada). Zdjęcie ceremonii zostało im dostarczone przez telefon (zdjęcie górne). Szczęśliwa matka i ojczym otrzymali równocześnie tą samą drogą zdjęcie dzieci.

Fot. — CAF



W ostatnich dniach odbył się pokaz nowej kolekcji modeli u Diora, podczas którego jego następca Yves Saint-Laurent odniósł podobny sukces, jak i przy prezentacji poprzednich swoich kolekcji. Zdjęcie przedstawia młodego projektanta i nową główną modelkę — Argentinę Kouka. Fot. - CAF

Co bawiło naszych ojców i dziadów?

Spod znaku przepony A. D. 1901

Zupełnie przypadkowo grzebiąc w starych szpargałach natrafiłem na grube tomisko. Przy pomocy tzw. kurzawki dokonałem zabiegów kosmetycznych i moim oczom ukazał się rocznik „Tygodnika Ilustrowanego” z roku 1901.

O dziwo, ten bez mała sześćdziesięcioletni starszy wygląda jeszcze wciąż, wciąż.

Oto artykuł dr. Karola Hertza pt. „Sygnały z Marsa”. W lekkiej formie, z filuternym znużeniem oka, informuje autor o tajemniczych sygnałach, które jakoby odebrano (oczywiście w Ameryce) z Marsa.

Dwa numery dalej czytamy doniesienie, że redakcja „Wieczorów Rodziny” (był taki tygodnik) zwróciła się do Henryka Sienkiewicza z prośbą o nakreślenie odpowiedzi na pytanie: czym być pragnął w epoce młodości? Sienkiewicz

nadesłał odpowiedź, w której zaznaczył, iż z początku marzył o tym, aby być rycerzem. Później pod wpływem Robinsona marzył, aby osiąść na bezludnej wyspie i z czasem te marzenia zamieniły się w chęć podróży, którą autor listów z Ameryki i Afryki zdołał w znacznym stopniu urzeczywistnić. O zawodzie pisarskim, będąc dzieckiem — nie marzył wcale. „Przyszło to jakoś samo przez się, jakby trochę z tego powodu, że inaczej być nie mogło”.

Co numer, to same dedukcje. Piszcie Tetmajer (Panna Mery), Orzeszkowa (Z różnych dróg), T. T. Jeż (Od kolebki przez życie), a Aleksander Kraushar przypomina „Miotelki satyryczne” z r. 1829.

Ale nie te główne pozycje, bo zostały one skatalogowane i ujęte przez badaczy literatury, lecz owe drobne rozproszone na stronach każdego numeru budzą specjalne zainteresowanie. Ot, tak dla przykładu — jakie żarty i dowcipy wywoływały śmiech? Warto tu zaznaczyć, że są to dowcipy typowo polskie, które według określenia Prusa „mają na celu tylko żołądek, gdyż Polacy żądają dowcipu, który by wywoływał śmiech, to jest ruch przepony, nader zbawienny dla trawienia”. Oto kilka z brzegu (zachowujemy oryginalną pisownię):

SILA PRYZYWCZAJENIA
Zona uczonego: przyglądając się podczas deszczu

nowo wzniesionemu pomnikowi męża:
— Okropność! Znow za-
pomnił parasola.

POCIECHA

On: — Pieniędzy nie mam, rozum mój jest moim majątkiem.

Ona: — Niech się pan pocieszy, ubóstwo nie hańbi!

SCENARIUSZ MODERNISTYCZNY

Na pierwszym planie slychać jak trawa rośnie. Na lewo podłotek wyrasta na dziewczę. Na prawo radni miasta umyją ręce od wszystkiego. W głębi ochotnik odsluguje zwolna powinność wojskową, nieco dalej spadają akcje wielkiego towarzystwa przemysłowego. Ponad całym krajobrazem widać przesuwający się powiew wiatru...

Nie brak również, tak teraz popularnych w naszych tygodnikach: „złoty myśli”.

Kobieta umiera dwukrotnie: w dniu w którym kończy życie i w tym, w którym przestaje się podobać.

Co jest grzechem? Zawsze tylko to, co popełnia twój sąsiad.

Większość mężczyzn szuka znajomości kobiet złych, z dobrymi nudzi się.

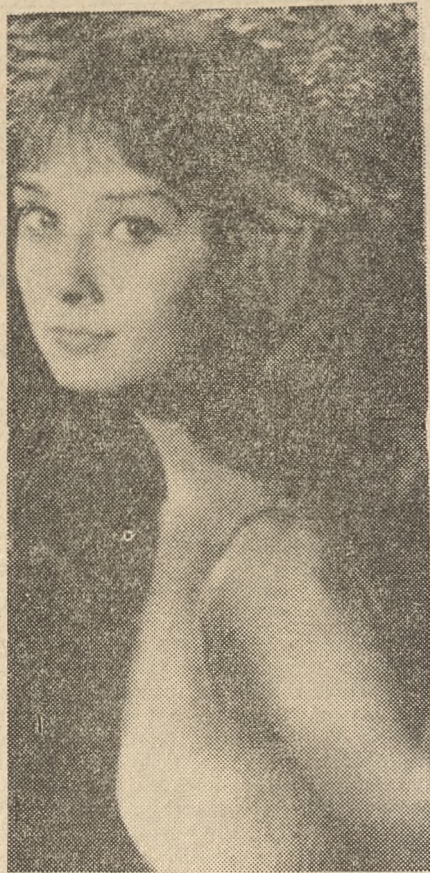
Opozycja jest zawsze oznaką zainteresowania. Znużony słuchacz zgadza się z tobą zawsze.

Oczywiście — wiele dowcipów i „myśli” zwierzało już i może dziś wydać nam się nudne. Ale...

Istniało niegdyś powiedzenie, które obecnie wyszło z mody: „czytam od deski do deski”. Nie czytamy teraz tygodników w ten sposób. Raczej je przeglądamy, bo tempo życia — mówimy — na to nam nie pozwala. Czy tylko tempo życia?

Konstanty SYREWICZ

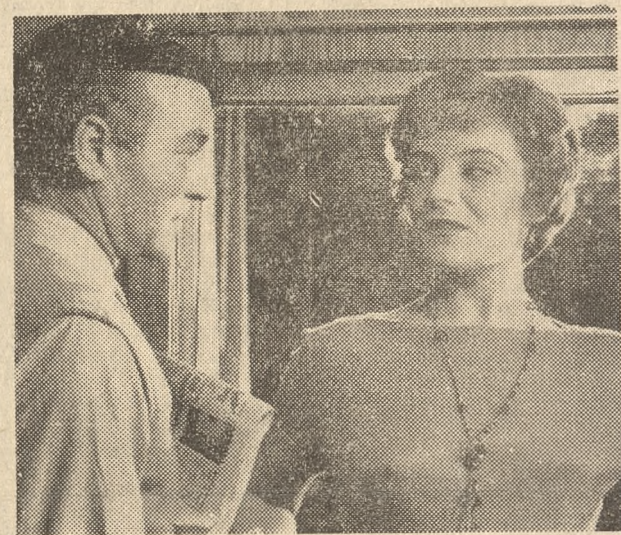
FILM



Odwieczny temat miłości księżniczki do zwykłego śmiertelnika, pikantnie zaprawiony aluzją do głośnego romansu angielskiej Małgorzaty z Townsendem — oto temat uroczego filmu W. Wyllera pt. „Rzymskie wakacje”.

Księżniczka, reprezentująca wyimaginowane królestwo, składa oficjalną wizytę w Rzymie. Jest nią jednak tak bardzo znużona i zmęczona, że cichaczem wymyka się z pałacu, aby samotnie odkrywać uroki wiecznego miasta. Że jednak zupełna samotność też nie jest miła, odkrywa je przy sympatycznej pomocy młodego dziennikarza.

Rolę księżniczki kreuje uroczą Audrey Hepburn (na zdjęciu).



Teresa Szmigielówna i znany dobrze Poznaniowi Igo Machowski grają w nowym filmie J. Kawalerowicza „Pociąg”.

A IELRET HISTORIA ciekawostki ALIEN

MANIEWO — w powiecie obornickim istniało jeszcze przed rokiem 1333. 22 lata później Kazimierz Wielki wymienił tę wieś na inną z zakonem Joannitów w Poznaniu. (dp)

MIELECIN w powiecie kępińskim, za rok będzie obchodził 650-lecie istnienia w zapisach. W roku 1310 pisał się Nylencyno i Mileczino, a w r. 1517 — Myleczyn, stąd wywodzi się ród Mieleckich.

MIELESZOWKA w powiecie kępińskim prawdopodobnie jest córką niedalekiego Mieleczyna. Już była w r. 1570. A więc Mieleczyn musiał istnieć znacznie wcześniej.

MIŁO — było pod Wierznicą na wschód od Poznania. Po wstał ten przysiółek około 1821 roku, ale co z nim się potem stało, niewiadomo.

LEWICE — w powiecie nowotomyskim mogą się chwalić wysłaniem jednego żołnierza na 13-letnią wojnę z Krzyżakami (XV w.).

KOSZKOWO — w tym samym powiecie — od Koszka. Stare dokumenty podają to przewisko w roku 1522.

KOSOWO w powiecie gostyńskim — od kosa. Wzmianki o nim sięgają 1258 roku.



W Grecji ukazała się seria znaczków w związku z Kongresem Ochrony Przyrody w Atenach. Składa się ona z ośmiu winietek, przedstawiających kwiaty i postacie mitologiczne.

Na znaczku za 20 lepta widzimy postać bożka na tle narcyza, winietka za 30 lepta przedstawia Apollina obok krzewu wawrzynu, znaczek za 70 lepta ukazuje nam bożka, siedzącego pod sosną.

Pozostałe znaczki zawierają jedynie rysunki różnych kwiatów. I tak — winietka za 1 drachmę przedstawia krokusy, za 2 drachmy — irysy (Iris Cretica), za 3,50 dr. — tulipany (Tulipa Bocotica), i wreszcie za 5 drachm — cyklameny (Cyclamen Graecum).

mgr. L. K.



Seter angielski (z lewej) odznaczony I nagrodą na Wystawie Psów w N. Jorku, przyjmuje gratulacje od jamnika — laureata III nagrody. Obie młodzieńcze opiekunki są najwyraźniej zadowolone ze swych pupilów... Fot. — CAF

Wypróbuj swe umiejętności

Wszystkim brydżystom, którzy zamierzają wziąć udział w naszym dorocznym **Brydżowym Turnieju Parami o Puchar Przechodni „Nowego Świata”** podajemy, że jutro, tj. 2 marca, odbędzie się w Domu Kolarza przy ul. Marchlewskiego, otwarty turniej parami. Będzie to swego rodzaju generalna próba przed naszym turniejem.

Zgłoszenia — na miejscu o godz. 16,30.

Jednocześnie przypominamy, że termin nadsyłania zgłoszeń do turnieju o puchar na szęj redakcji upływa 9 marca. Eliminacje odbędą się 14 (dla niezrzeszonych) i 15. III. W okresie od 1 do 9. III. przyjmować będziemy wyłącznie zgłoszenia listowne. Na kopercie prosimy koniecznie zaznaczyć „turniej brydżowy”.



Poszukiwanie „Yeti”

— Cicho, czuję, że zaraz będziemy go mieli!...

✱

(Z najnowszego, zwiększonego numeru tygodnika „Kaktus”)

Mówi się: Poznań słynie z czystości. Mówi się także: w Poznaniu mieszkają u-przejmi ludzie.

Nie wiadomo, jaki diabeł skusił konstruktorów nowych wozów tramwajowych, że spotykane ostatnio typy zaopatrzili w drzwi dwuczęściowe. Ta druga część, najpowszechniej używana, otwiera się nader nie wygodnie: tramwaj, jak wiadomo, jedzie do przodu, drzwi natomiast trzeba ciągnąć do tyłu. Trudno — konstruktorzy tramwajowi pozazdrościli widocznie „laurów” architektom sprzed kilku lat. Stoję sobie w „trzyście” obok tych udoskonalonych drzwi i patrzę jak się ludziska z nimi mierzą. A ponieważ w południe nasze tramwaje okupowane są głównie przez kobiety, bawię się w odzwierciedlenie.

Przy Ratajezaka mocuje się z klamką gruba jejmość z wąsikiem. Szarmancko ujmuję klamkę, ciągnę do tyłu — jejmość wysiada z godnością Marii Antoniny przed zgilotynowaniem.

Przy Lampego otwieram eleganckiej pani w różowym misiu. Nic. Różowy miś wysiada zapatrzoną w tak zwaną siń dał.

Zaczyna mnie to powoli bawić i zawieram zakład z sobą samym. „Jeżeli tak, to oddam książkę w tym tygodniu”. Przy moście wysiadają dwie rozgadane paniusie. Chcę wygrać zakład fair i daję im szansę. Patrzą przez chwilę jak się

szamocą z klamką, potem otwieram i mówię głośno: „proszę uprzejmie”. Paniusie wysiadają, nie przerywając dyskusji. O ile pamiętam, chodziło o przewagę Jean Marais nad Gerardem Philipe.

W myślach dodaję: „oddam nie tylko książkę, ale nawet przez cały tydzień nie będę grał w brydża, niech żona oszaleje ze szczęścia”.

Zbliżamy się do Collegium Chemicum i zaczynam żałować swej rozrzutności. Koło drzwi skupia się prupka uśmiechniętych studentek. Tramwaj przystaje, odcze-

kuje chwileczkę i ciągnę drzwi. Studentki wysypują się na ulicę, promieniując urokiem i radością. Jedna, dwie, cztery, pięć. Ciska. Konduktor zadzwonił, zamknął drzwi i pojechał my dalej.

Teraz — ostatnia szansa. Do poprzednich zakładów dorzucam jeszcze jeden: „oddam nie tylko książkę za tydzień i brydża na tydzień, ale będę czytał przez ten czas „Głos” od deski do deski...”. Tramwaj zwalnia, oglądam się i czuję, że prze-padłem. Pięć minut przed zwycięstwem, jak Napoleon.

W stronę pomostu zmierza starsza, uśmiechnięta pani. Tak sobie wyobrażam Jana Kamyczka, autora „Savoir vivre’u” z „Przekroju”. Myślę sobie: „gruba jejmość była zamyślona, różowy miś zakochany, paniusie zagadane, studentki — po prostu bardzo młode. Ale ta starsza, uśmiechnięta pani...”

Szarpnąłem desperacko klamką aż gwiazdy stanęły w oczach i wyzwałem los. Powiedziałem bardzo głośno: „te drzwi tak ciężko się otwierają, aż strach, proszę panią uprzejmie”. Pani westchnęła i... dusza we mnie zamaria. Pani powiedziała:

— Rzeczywiście...

Szedłem sobie wolniutko i spróbowałem odgadnąć, co też mogło tej pani przeszkodzić w wypowiedzeniu tego małego, malutkiego słóweczka: „dziękuję”?... Może to wina fe-ralnej cyfry 13?

Książki nie oddałem, w brydża gram co drugi dzień, czytam tylko „Nowy Świat” a i to z urzędu. Jeżeli, drogie poznanianki zobaczycie na przednim pomoście gościa w średnio-młodym wieku, znaki szczególne żadne, który z zimną krwią przygląda się, jak walczyście z klamką — wiedźcie: to właśnie ja.

GNOM

Rozwiązanie arytmografu

z poprzedniego „Nowego Świata” nie nastąpiło uważnym Czytelnikom wiele trudności, lecz za to wiele przyjemności. Wnioskujemy to po liczbie nadesłanych rozwiązań. Napłynęło ich tak wiele, że wspólnie z „Koziołkami”, fundatorem nagród — postanowiliśmy zwiększyć je do 20 ciekawych książek, które otrzymają: z Poznania — G. Gadziewska, W. Sadowska, I. Jakubowski, K. Kozłowska, J. Marszałkowski, J. Sobczak, U. Mańczak, R. Mikołajczak, H. Mi-niewski, M. Bauer, oraz H. Soter ze Swarzędza, J. Garczarek z Godzieszy, pow. Kalisz, W. Stachowiak z Krotoszy, M. Szatkowski z Lubawki, W. Wojtowicz z Wronki, I. Rychlikówna z Komorzy, pow. Jarocin, S. Lisiak z Pleszewa, A. Rybarczyk z Lubowa, poczta Wartosław, D. Kucharska z Pili i K. Smigielńska z Chlewisk, pow. Szamotuły. Wszystkie nagrody wysłamy pocztą za tydzień.

A oto rozwiązanie: „Domek i samochód, to nasze marzenia realne w Koziołkach za trafne skreślenia”.

Arytmograf opracował p. F. Ka-leński. Za tydzień — krzyżówka.